

30.000

HARCERZ



PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Rok II. Warszawa, Marzec 1918 r.

Nr. 3.

Cena 80 fen. w Warszawie i na prowincji.

Trzeba się dziś zwyciężyć, żeby jutra dożyć.

Juliusz Słowacki: „KORDYAN“.

Ś. p. TADEUSZ KORZON.

Tadeusz Korzon!

Więc niewyczerpane skarby wiedzy i nauki, więc praca bez wytchnienia, do chwili zgonu nieomal, więc dusza mocna i niezłamana cierpieniami na ziemi wygnania, więc bezmiar ukochania narodowej przeszłości i wielka, płomienna wiara w przyszłość.

Tadeusz Korzon!

Pracownik cichy a niestrudzony, wydobywający ze czcigłówności światła ludzkich oczu ukryte pamiątki zamierzchłych epok, ukazujący potomnym wielkość duszy umarłych pokoleń, chwałę ich czynów i imion.

Starzec wyniosły, wpatrzony wzrokiem serca i myśli w przeszłość, a zarazem pełen młodzieńczego zainteresowania i odczucia dla wszystkiego, co niesie chwila dnia dzisiejszego, z natężeniem wyczekujący ziszczenia się niezagaśniętych pragnień wolności i szczęścia.

Badacz-entuzjasta, tak typowo polski, otoczony atmosferą ukochanych ksiąg i dzieł, z których wycierała ku niemu minioną dobę narodowego bytu, dobę, którą badał nietylko suchym okiem historyka, ale żywą, porywającą, wielbioną i czci synowskiej godną.

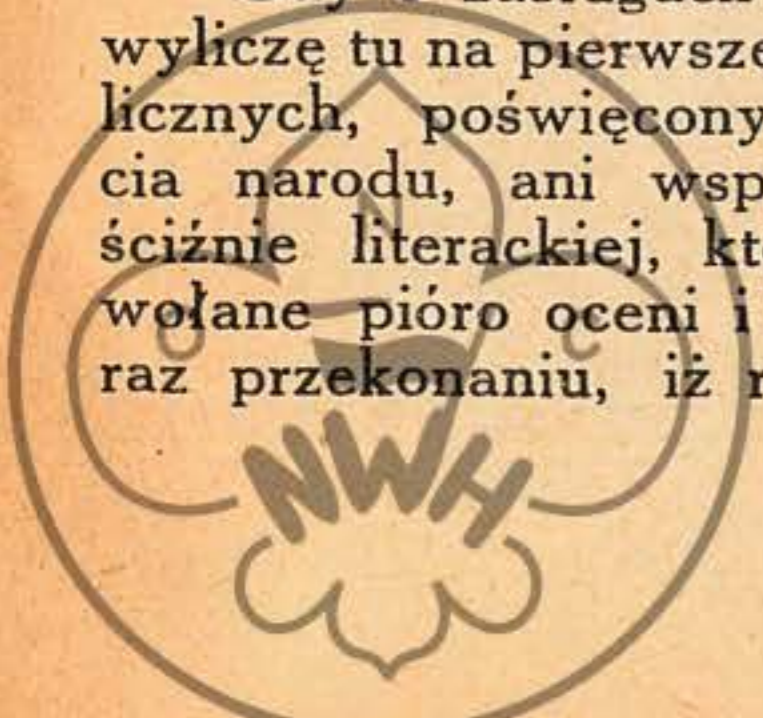
Dziwnie szlachetna, niedzisiejszą jakąś piękną jasną postacią!

Gdy o zasługach jego mam mówić, to nie wyliczę tu na pierwszym miejscu dzieł jego tak licznych, poświęconych śledzeniu objawów życia narodu, ani wspomnę o całej bogatej spuściznie literackiej, którą dopiero rzeczowe i powołane pióro oceni i zgłębi, ale muszę dać wyraz przekonaniu, iż równą, a może i większą

jest jego zasługa, jako budziela w duszach współczesnych ludzi pragnień poznania dziejów swego narodu, odczytania z zatartych kart historii praw jego i zadań w szeregu cywilizowanych narodów. Aż nazbyt często w ostatnich czasach podnoszono głosy, zwracające bacność naszą nietylko na małą znajomość, ale na brak przywiązania do pamiątek przeszłości i lekomyślność, towarzyszącą wszystkiemu, co ich się tyczy. Wielu bowiem nie umiało (i dziś jeszcze nie umie) pojąć i oszacować tych bezcennych dla ducha pokoleń żyjących bogactw, które leżą w zabytkach historii narodowej i wogóle w dziejach. Stan moralnej i umysłowej depresji, rozsypka duchowa i przerażenie, jakiemu uległo społeczeństwo polskie w okresie powstaniowym, zrodziło nastrój negacji wartości ubiegłych wieków dla naszego dzisiejszego życia, a rozgoryczony i przybity umysł same tylko złe i ciemne w nich widział momenty. Potępiono wszystko, cokolwiek podniecało uczucie i zapalało je żądzą czynu i protestu, zatknięto uszy na wołanie historii, nie chciano słyszeć w sobie wyrzutów palących sumienie narodowe za bezwład i umysłową martwość.

W dusze młodzieży sączono pesymizm i zwątpienie w cenność naszych charakterów i dążeń, a źle rozumiana trzeźwość miała zastąpić zapal, poświęcenie, porywy, którym rzucono wyklinające „anatemę“.

Tak zwana krakowska szkoła historyków jęła doszukiwać się w nieszczęściach i gromach, spadających na nas, win praojców, odnajdywała je i wywlekała przed oblicza współczesnych



archiwum

sędziów — sędziów stronnych, bo ponoszących rzekome kary za występki przodków.

W stosunku do owej szkoły Tadeusz Korzon stał niezmiennie na przeciwnym krańcu. Nie przyjął tych teorii i metod — nie pochwalił ich, nie zastosował. Wyraźnie bowiem widział bijącą z całokształtu dziejów złocistą smugę wiekopomnych czynów, szczytnych, niezapomnianych haseł i szlachetnych tendencji.

Jeśli były winy, zmasowano je tysiącem cnót, jeśli były błędy — opłaciły je szczodre udreki późniejszych dni, jeśli była małość i ciasnota — to przeciw nim stawał całopalny ogień dobrowolnych ofiar, poświęceń i bohaterstwa, umiłowanie bez granic i ogrom cierpienia.

Dlatego też, odkrywając tajniki przeszłości, nie odzierał ich rozmyślnie z blasków, nie miażdżał na nie oskarżeń za dzisiejsze niedole. Wśród niezliczonych trudności rzucał Korzon rodakom dzieła niepospolite, z których wieje „duch dziejów Polski”, ten, co w kurzawie krwi i błędnych dymach pobojuwisk, zarówno, jak i w cichej pracy myśli w zakątkach, sypał tajemnicze ziarno przyszłych przeznaczeń.

Dość wyliczyć takie plody trudów sędziwego historyka, jak „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta”, „Kościuszko”, „Dola i niedola Jana Sobieskiego” — aby zrozumieć ich doniosłą rolę i znaczenie dla współczesnej duszy polskiej, a tem samem, aby oddać całą wielkość straty, jaką przez śmierć jego poniosła polska nauka.

Dziś, przy świeżej jeszcze mogile uczonego, składając powinny hołd jego światłu duchowi, godzi się nam, młodzieży harcerskiej, przyrzec, iż, kształcąc się na wzorach dawnych typów i charakterów, ideałom przeszłości należne damy miejsce, a wzmacniając w sobie ukochanie narodowych pamiątek, wzniesiemy na grobowcu dawnych dni, granitowe zręby przyszłości.

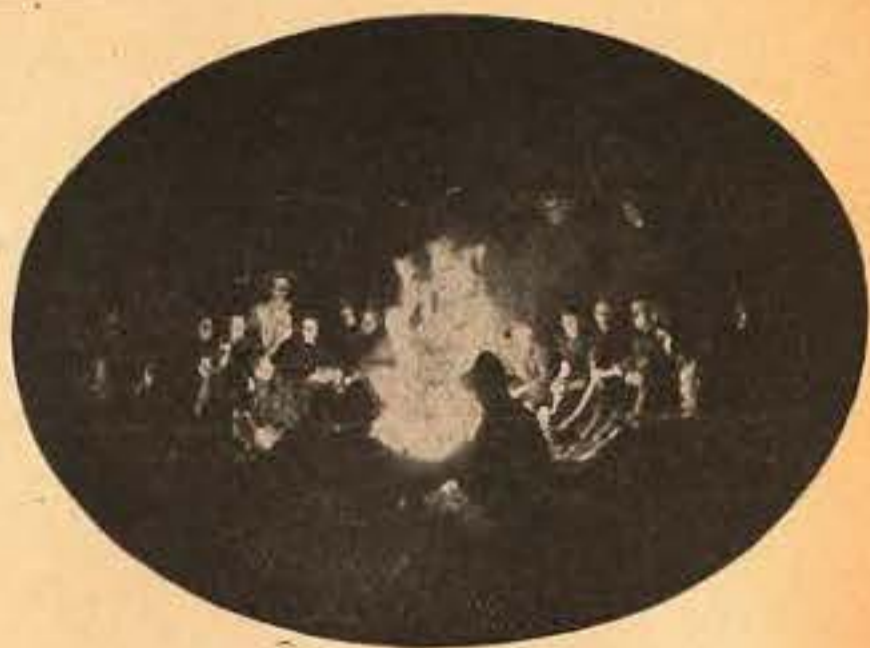
Bo słusznie mówi Asnyk:

*Ale nie niszczyć przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść!
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzką stoi tam na straży,
I wy winicie im cześć!...*

St. Rędz.

□□□□□□□□

Między wszystkimi cnotami najpierwsza i najpo-
wszechniejsza jest sprawiedliwość, która jest vinculum so-
cietatis humanae... Druga cnota rycerza prawego męstwo,
od którego bywa nazywany dobrym... Trzecia cnota męż-
nego rycerza jest posłuszeństwo. Posłusznym być trzeba,
bo inaczej rządaby żadnego, a zatem i zwycięstwa żadne-
goby nie było... Czwarta z najprzedniejszych cnót rycer-
skich jest temperantia, aby żołnierz chrześcijański i w oby-
czajach pomiarował się, affekty swoje temperując, i w życiu
nie był zbyt...
(Sz. Starowolski — Prawy rycerz).



COŚ WAM POWIEM.

Po dniu pracowitym nadszedł wieczór; ci-
chy letni wieczór. Odpoczynek.

Ognisko. Ruszyła się brać harcerska w cał-
ym obozie, od komendanta do ostatniego „biszk-
kopta” i „biszkopcika”.

Buchnął płomień w górę, ku niebu iskry się
posypały.

Popłynęły pieśni. Jedna za drugą szły
po onej starej ziemi lubelskiej w ciszę wieczorną;
po wąwozach i jarach, haszczach a wądołach
obwołane echem.

Jaś i Antek siedzieli wpatrzeni w płomień
ogniska. Czasem któryś podchwycił melodię
jakąś droższą mu, a z jego wspomnieniami
związaną. Już kawał czasu upłynął — trzy la-
ta — wiek cały dla młodej duszy i młodego
serca, gdy ostatnie spędzali wieczory przy ogni-
sku obozowem w gronie swych druhów harcerzy
tam wśród borów i polonin, na Podkarpaciu
czy Podhalu. Twardą przez ten czas przeszli
szkołę, co nie każdy ją przeszedł i wytrzymał.
Bo niejednemu nie było sędziwym, a inny zamało
twardości, za mało hartu miał w sobie.

Karpaty, Besarabja, Wołyń... I to mało...

A teraz siedzą tu pośród nas ci sami ska-
uci, jak wtedy kilka lat temu, tam na skolskiej
polanie czy w halach tatrzańskich.

Bo harcerzami pozostali.

— Tak, chłopcy, wierzyć można i trzeba,
że harcerstwo jest i będzie. Bo w skautingu jest
ta idea, stara a wieczna idea dążenia do dobra;
tak, dobra powszechnego. W założeniu swem,
w pierwotnej swej formie nie jest skauting na-
wet organizacją. To idea doskonalenia się, idea
pracy i ofjarności dla Ojczyzny, idea czystości
i szczerości uczuć, myśli i czynów, co łączy
wzniosłość z codzienną prostotą, bo nakazuje by
słowo każde w czyn się przyoblekało. Organi-
zacja toć jeno środek, ułatwiający jej osiągnięcie!

Pieśni zaprzestano; wszyscy czekali teraz,
kto powie coś ciekawego. Biszkoptom trochę się
oczy kleiły, więc tego i owego odesłał zastępo-
wy do kwater. Ostatnia pieśń miała w sobie tyle
powagi i tak też wszystkich nastroiła. Siedzieli
w milczeniu, ten i ów zadumany głębiej; wpa-
trzeni w blask ognia, co niepodsycały przygasał
powoli.

Potem poczęli spoglądać po sobie. Aż wresz-
cie któryś z „biszkoptów”, tych starszych, wziął
na odwagę i pierwszy się odezwał:

— Druhu, opowiedzcie nam co...

— Powiedzcie jakąś gawędę — potwierdziło
kilku innych.

— Ale o czym wam mówić? —

— Powiedzcie nam o Polsce, tak, jak ostat-
niego wieczoru — odezwał się z za czyichś pleców,
chyłkiem któryś z Mańków, czy Antków w dREW-
niakach.

— No dobrze chłopcy, ale dziś opowiem
wam coś innego. Toć chyba już wiecie, co to jest
Polska? Prawda? Dziś powiem wam o każdym
z nas i o wszystkich razem.

— Wiecie więc, że Polska „to — wielka rzecz”,
wiecie jak piękna i kochana, wiecie też, gdzie
szukać jej trzeba?

Mówi o Niej tak pięknie i dobitnie jeden
z pisarzy, a słowa jego, może wam to jeszcze
lepiej wytłomaczy: „Ojczyzna nasza Polska, to
ta ziemia, z której pożywienia utworzone jest
ciało moje, która skropiona jest krwią przodków
moich, zroszona potem i znojem ziomek moich,
której części zmieszane są z prochami ojców
moich. I gdyby przyrodzenie cofnęło się z gran-
nic swoich, a ścisnąłbym garść ziemi ojczyściej,
wytrysnęłaby z niej ta sama krew, która płynie
w żyłach moich”.

A teraz pytam: któż tę Polskę tworzy?

Przedewszystkiem naród polski, owe dwa-
dzieścia kilka milionów dusz i serc, które biją
na tej ziemi jednym złączone ukochaniem Oj-
czyzny. I dlatego rzec możemy śmiało, że taką
będzie Polska, jakich posiadać będzie synów
i córki, to jest jakim będzie naród cały.

Każdy naród tem lepiej się rozwija dążąc
dopowszechnego dobra, im więcej w jego szere-
gach znajdzie się jednostek dzielnych, silnych fizyc-
nie i duchowo, im więcej głów roztropnych
a mądrych i serc, gorąco kraj miłujących. Uczy
nas tego historia i doświadczenie, że dobro i po-
tega państwa nie od zakroju jego praw, ale od
osobistej wartości jego obywateli zależy.

Każdy z nas stanowi małą cząstkę tego
narodu, kiedyś stanowiąc zaś będzie jego część —
jako obywatel. Charakter każdego z nas składa
się na charakter narodu, charakter narodu —
jak mówimy.

Widzimy, jak różny on bywa wśród różnych
narodów i widzimy, że on stanowi o ich istnie-
niu. Zapytajmy więc siebie przedewszystkiem:
jakiego charakteru potrzebuje nasza Ojczyzna?
Spoglądajmy często w przeszłość a rozważajmy
ją taką, jaką była, biorąc z niej jednak dla sie-
bie ku nauce jeno momenty jasne i silne.

Ujrzyście tam i wiele wad, ale i cnotę nie-
jedną obywatelską, godną pamięci i naśladowa-
wania.

*Pochlebstwem chytrej zwycięża nas wróg,
a sami siebie oddajemy mu w poddaństwo prywaty
lub niewiarę w siebie — mówił jeden z najdzielniej-
szych Polaków, a najczystszych charakterów Czar-
niecki, gdy w całej Polsce obca zapanowała
przemoc.*

*Porzucmy raz na zawsze wołania: „złe jest”,
a czynmy jeno, aby było dobrze. — Kościuszko po-
wiedziało w jednym ze swych manifestów: „Pier-
wszym krokiem do zwycięstwa jest poznać się na włas-
nej sile”.*

Oto zasada kształcenia naszych charakte-
rów: Co w nas złego jest — na to nie patrzmy,
ale wspierajmy całą naszą wolą, co jest dobrego.
Gdy wola nasza chce, aby tak było, a nie ina-
czej i tak się dzieje — znaczy — dobrze jest. *Boć
wola jest podstawą naszego charakteru. Wola nasza
musi chcieć silnie osiągnąć to, co jest celem
i dążeniem narodu.*

Drzemie w głębi narodu instynkt samorodny,
który stanowi istotę jego życia, który niby nic
złota przewija się w przedzi jego wiekowej
pracy.

Patrząc w księgę przeszłości narodów i na
chwile dzisiejszą, gotowiliśmy sądzić o ich przy-
szłości podług chwilowych ich powodzeń lub
niepowodzeń w tej czy innej dziedzinie.

Nie według tego jednak sądzimy, ale we-
dług owej wewnętrznej prężności narodu, która
stanowi o żywotności jego na przyszłość; we-
dług wytycznych celów linii jego rozwoju.

O tem wszystkim zaś stanowi charakter
narodowy. Historję człowieka stanowi jego cha-
rakter i zarówno też *historją narodu jest jego cha-
rakter narodowy.*

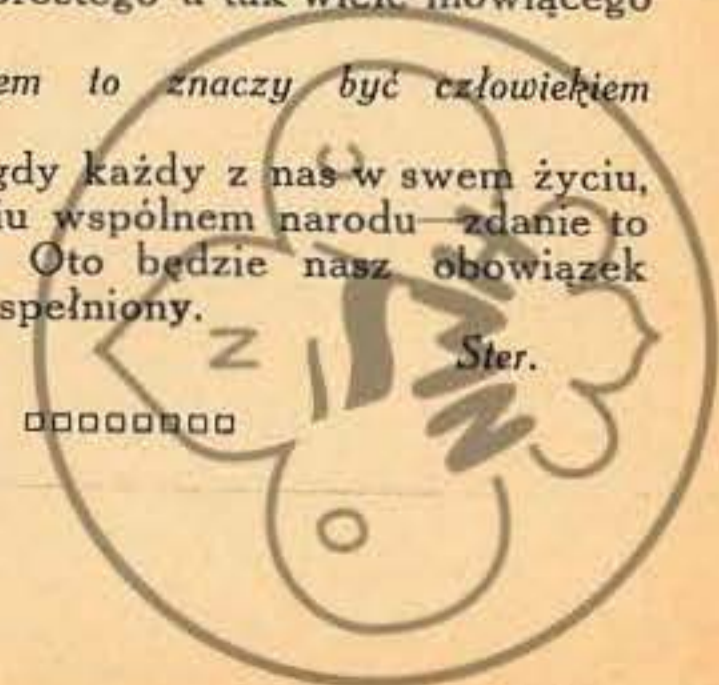
Stąd zasada, którą postawić należy, sprowa-
dza się do tego prostego a tak wiele mówiącego
zdania.

*„Być Polakiem to znaczy być człowiekiem
z charakterem”.*

Wystarczy, gdy każdy z nas w swem życiu,
a wszyscy w życiu wspólnem narodu — zdanie to
usprawiedliwimy. Oto będzie nasz obowiązek
wobec Ojczyzny spełniony.

Ster.

□□□□□□□□



MYŚLI O PRAWIE.

Harcerz w każdym widzi bliźniego, a brata w każdym harcerzu.

Zyczliwość, otwartość i szczerłość charakteryzuje Polaka. Znajomości bywają prędko zawierane, nieraz nawet za szybko następuje zażyłość; a gdy zdarzy się, że dwaj rodacy spotkają się na obczyźnie i usłyszą ojczystą mowę, czują łączące ich braterstwo.

Harcerz powinien wiedzieć o tym charakterystycznym rysie Polaka, pielęgnować go w sobie, a zarazem oczyścić z wszelkich nierozważnych przejawów.

Naród wtedy jest silnym, kiedy tworzy jakby jedną wielką rodzinę. Wówczas miłość Ojczyzny zestrzela ogólną wolę, wszyscy sobie ufają i wzajemnie pomagają.

Każdy harcerz winien zbratać się z druhami swego zastępu i drużyny; znać ich i lubić, mieć pewne uznanie, jako dla towarzyszy tej samej chorągwi: nigdy nie powinien pozwalać sobie na ostre, przykre krytyki, opowiadania o ich wadach lub złych postępkach, prowadzenie intryg, ażeby usunąć tego lub owego ze stanowiska, a samemu na nie wejść; lekceważyć wiedzę, zdolności innych, a przechwalać się i wynosić nad nich. Takie przywary nie powinny być cierpiane w organizacji, gdyż jej byt w ten sposób bezwzględnie podkopują.

Między drużynami powinno być też braterstwo, a nie wynoszenie się jednej nad drugą; druhów — uczniów szkół lepszych czy gorszych, synów rodziców ubogich czy bogatych, od chwili, gdy wstąpił do harcerstwa, łączyć powinno ich uczucie braterstwa, bez żadnych różnic i zastrzeżeń.

W szkole harcerz styka się z kolegami, którzy nie są harcerzami—powinien dla nich być dobry, nie zwracając uwagi na to, jaką mają opinię o harcerstwie. Swojem zachowaniem, sumiennością w pracy, winien być przykładem, nie uważać się za lepszego od innych, gdyż to jest sprzeczne ze skromnością, którą harcerz się odznacza.

Braterstwo rozwija się w duszy przez zbliżenie się do towarzysza, odczucie jego przykrości czy nieszczęścia, wreszcie przez ducha chrześcijańskiego, który wszystkich łączy w miłości Chrystusa: „Cokolwiek uczynicie jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“.

X. L.

Gdzie się was trzech zgromadzi, tam Ojczyzna będzie między wami.

(St. Szczepanowski—Idea polska).

TADEUSZ RADLIŃSKI.

Wśród wirchów, turni i przełęczy.

Na Egenhofera!

Zaledwieśmy zdołali przymknąć na chwilę jedno oko (a przynajmniej tak nam się zdawało), już stanowczy głos niestrudzonego Klimka Bachledy nakazuje nam wstawać, twierdząc, że już jest w pół do 3-ej — czas do drogi. Całe moje ja, usiłuje zaprotestować przeciw temu, i wynaleźć jakikolwiekbydz przeconvyjący dowód, że przecież tylko cośmy się dopiero położyli (o godzinie 7½ wiecz.) — wszystko napróżno: nieubłagany Klimek z jeszcze nieubłagaszczym czasomierzem w ręku jest — nieubłagany. Wysmarowawszy więc suto stopy waseliną¹⁾ poddaję się konieczności i za chwilę pochłaniam marną lurę, szumnie kawą zwaną z czerstwem pieczywem. Zostawiamy cięższe i niepotrzebne pakiunki w schronisku, suniemy lekkim krokiem wśród ostrego powietrza i przenikliwego wiatru ku żlebowi między małym Durnym i Egenhoferem, którego wczoraj próbował Döri wdrzeć się — bezskutecznie. A teraz krótki opis miejsca. Dolina ta na 2000 m. mniej więcej wzniesiona jest głęboką kotliną, której dno ma kształt gruszkowaty w przecięciu. Ku południow-schodowi ogon tej gruszki schodzi w dolinę Zimnej wody, łączy się z doliną Staroleśną i na koniec rozszerza się w obszerny płaskowyż, gdzie stoi Smokowiec (Szmeks). Najwyższe i najwyższe szczyty tatrzańskie dokoła niej się grupują. U wejścia z lewej strony wznosi się imponujący szczyt niedostępnej, zda się, pośredniej grani, którego wytworna w linjach i nierównanej lekkości kopuła dochodzi 2440 m. Za nią Żółta turnia i małe, ale ostre turnice Döryego, Petryka i Majunke idą aż do Małego Lodowego. Dalej znana już nam Przełęcz Lodowa, Kopa Lodowa (2611) i na koniec sam Lodowy (2660), którego szerokie i potężne bary z każdego prawie większego szczytu są widoczne ze swoją charakterystyczną białą łatą śniegu nigdy nie znikającą w kształcie grubego nieociosanego krzyża. Za Lodowym grań skręca łukowato ku wschodowi i wznosi się do 2536 m. na szczycie Baranich rogów; za nim przełęcz do Doliny Dzkiej zawsze pokrytej śniegiem i nasz Egenhofer przypominający z dołu trójząb Nep-tuna, lub fronton kościoła w stylu barokowym. Z południo-wschodu tego wspaniałego trójżęba

¹⁾ Operację tę radzę stosować wszystkim.

leży spadzisty żleb, po którym wejść zamierzamy, dalej mały Durny, Wielki Durny (2625) i na koniec Łomnica (2634). Oto ściany garnka którego dno tworzy dolinę ozdobioną 5 stawkami. Klimat tu ostry, powietrze lekkie, mroźne — schronisko Terygo, na alpejską modłę zbudowane przez Towarzystwo Węgierskie, przydaje się bardzo. Drogo w niem jest tylko okropnie, ale nic to dziwnego, gdyż wszystkie zapasy trzeba dźwigać na plecach ze Szmeksu na wysokość 2056 m. Za kilo bagażu płacą 10 ct. tragażowi.

Otóż i jesteśmy w żlebie. Zwolna ze skupieniem jakimś i zamknięciem w sobie postępujemy za Klimkiem. Czy dopniemy celu — czy zdobędziemy szczyt ów dotąd niezdobyty. Około 1½ godziny wspinamy się w górę, kierując się możliwie na lewo i na koniec dosięgamy szczytu przełęczy. Wązkim kominem opada ona na drugą stronę ku dolinie Dzkiej. Na prawo wznosi się ostro tytaniczna budowa małego Durnego — na lewo pionowa ściana, a nad nią przedziwnie jakiejś lekkości cstrołukowa kopuła — to jest nasz Egenhofer — tam być musimy pierwsi!

Podczas półgodzinnego śniadania starannie wypatrujemy sposoby zdobycia owej pierwszej pionowej ściany. Przeczucie nam mówi, że, gdy ta zostanie wzięta, po wysmukłych łukach tej nieporównanej budowli wzniesiemy się na sam szczyt: przeczucie, mówię, gdyż ściana zasłania nam dalsze linie szczytu; — ach, gdybyż tylko na nią!

Niez mordowany Klimek, podczas śniadania wdarszy się kilkanaście metrów na prawo, na bok Durnego, potwierdza nasze przeczucie; chodzi więc tylko o tę ścianę — tak nie więcej jak 2 piętra wysoko, pod którą, niestety, komin w Dolinę Dzkiej wiodący, opada prostopadłą niemal przepaścią — każdy więc krok niebacznym życiem przypłacić można. Niema tu jednak lodu, jak wczoraj w tym czarnym oślizgłym, nieprzystępnym kominie na Szpiczastym, więc nadziei nie tracimy. Śniadanie skończone. Dalej do roboty! Stojąc na wązkim na stopę grzebieniu przełęczy, podszamy na ramionach do góry Klimka, który z ciupagą w ręku próbuje dostępności gzemsika na ścianie: zawałony jest on jednak zwietrzałymi złomkami granitu: strzeżmy się, by ich nie poruszyć bo spadną nam wprost na głowę, a usunąć się niema dokąd, i pociągają za sobą inne jeszcze.

Sytuacja staje się niebezpieczną: Klimek stoi nam na ramionach i starannie próbuje wytrzymałość kamieni: czy uda mu się ręką uchwycić który z nich i podźwignąć się do góry: gdzież tam! wszystkie się ruszają i kilka już spadło — o włos że nie na nas. Na koniec po nadzwyczajnych wysiłkach, wciągając się na brzuchu, udaje mu się, nie poruszywszy groźnych okruców, wciągnąć się na gzymsik: połowa ściany

„zrobiona“. Po gzymsie przesuwa się wyżej i po pewnym czasie jest już na ścianie. Teraz role się zmieniają: dotąd myśmy go podsadzali, teraz on nas będzie wciągał. Opasuję się więc linką i, omijając zdaleka groźące upadkiem „skale“, staram się wynaleźć punkt oparcia dla palców. Do tego jednak trzeba zejść trochę na bok z grzebienia przełęczy i zawisnąć nad przepaścistym kominkiem. Linka jednak to pyszny środek na nerwy — palcami tedy i „zębami“ łapiąc się zmarszczek na granicie, dostaję się na koniec na pierwsze piętro szczytu: ściana zdobyta. Szybko zdejmuję linkę i rzucam ją towarzyszowi — za chwilę stoimy na ścianie wszyscy!

Tu znów ta sama operacja: my dopomagamy Klimkowi z dołu, ten, po osypujących się zwietrzałych głazach, wdiera się na drugie piętro i stamtąd wciąga mego towarzysza na linie. Szczyt już tuż, tuż, stoimy jakby na szerokim dachu, przed nami wznosi się w górę kant olbrzymiego „konia“ pochyło ostrzem do góry zwróconego, tak, że należy nam się drapać jak po grzbiecie rozchylonej książki kamiennej, pochylonej pod górę pod kątem 45° co najmniej, której boki opadają w niezmiernie przepaście.

Klimek kładzie się na brzuchu, obejmuje kant nogami i powoli cał za całem pełźnie do góry. Całe szczęście, że na granicie rośnie rodzaj porostu, który mu nadaje pewną szorstkość, także nie jest ślizko. Otóż i nasz Klimek na górze — mój towarzysz na linie puszcza się w drogę, po której lokomocja jest dla gatunku „homo sapiens“ nieodpowiednia. Ja stoję, jak na żarzących węglach: cóż to! mam czekać aż on wpełźnie i nie będę pierwszy na szczycie! krótką chwilą wahania i — o wstydzie — ja stary i przezorny taternik, nakazający zawsze na wycieczkach rozważę i nieporywanie się na rzeczy, co do których spełnienia nie jesteśmy zupełnie pewni; zapominam o wszystkim i puszczam się bez linki na kant ów przepaścisty. Taka jest moc jakaś, taki czar w tym pięciu się na szczyt, gdzie w cał każdej zdobytej przestrzeni tyle trzeba pracy, woli i energii włożyć, że żadne pióro opisać tego nie zdoła. Wisząc nad przepaścią, przywarty do olbrzymiego granitu, taki mały, nędzny i bezbronny w porównaniu z tą skałą, tak nikczemny, jak ów robak, którego życie pozbawia wypadkowe stąpienie człowieka — a muszę przecież tę skałę zdobyć, muszę stanąć na jej szczycie, dumną stopą deptać jej czoło, spojrzeć w oczy słońcu złotemu i halnym się wiatrem upoić; niech to kosztuje co chce, choćby życie nawet. Dwa razy zatrzymałem się na tym skalnym zrębie — dwa razy zabrakło mi oparcia dla nóg — nie było czem się w górę podciągnąć; już myśl zimna i ostra wciska się do mózgu — bronie się jej, lecz ona chłodem przenika; to

śmierć w dole czatująca. Kto się jej podda — ten zginął: wola słabnie, mięśnie tracą giętkość, umysł poddaje się nieprzeparnej sile pociągającej przepaści i...

Lecz nie! — oto nierówność, za którą można zaczepić palce: wygrałem, jeszcze mi zginąć nie przeznaczono! Dalej naprzód! Oto za chwilę stoję obok mego towarzysza i Klimka, którzy mi obaj wymyślają za zuchwałą nieostrożność. Niech tam! O tośmy już na szczycie! Któż zdoła odczuć rozkosz tej chwili „na szczycie”, kto sam wrażeń podobnych osobiście nie doświadczał! Kto jest w stanie pojąć, ile czaru, ile jakiejś potęgi i siły mieści się w tym „na szczycie”! Tam na dole piętroszą niezliczone skały w cieniu ponurym skąpiane — tam śmierć chłodna i zdradziecka czyhała na nas w przejściu — tam zimna jej ręka tuż, tuż chwyciła nas — czuliśmy jej lodowe tchnienie — i szpik nam zmarł w kościach — a tutaj oto stoimy wielcy, dumni, wyżsi od skał wszelkich, a nad nami tylko lazur nieba niezmierny, tylko słońce złote, lub orzeł jaki waży się w przezroczyście powietrza.

Otóż stoimy — czoła nasze owiewa wiatr wolny i wszystko zostawiliśmy za sobą — wszystko małe, nikłe, nikczemne zostało za nami tam gdzieś w tym dole siną mgłą oddalenia owianym, my tu stoimy i nic nie jest nam równe, i jesteśmy wielcy, wolni, i potężni. Chwilę ową przedziwnie oddał niezrównany nasz piewca Tatr — Tetmajer — w swoim objaśnieniu do panoramy Tatr: „...W taką chwilę na szczycie zapada się

w jakąś zadumę nieokreśloną i bezkresną, wszystko u człowieka milknie, pamięć, wiedza, myśl; piękno natury ogarnia go, topi w sobie, chłodnie. Zdaje się, że przestaje istnieć, że dusza wymyka się z ciała, i wolna, lotna, jak słoneczne światło rozsuwa się, rozściela po przestrzeni.

„Dusza wybiec chce oczyma,

Upojona — a nie syta!” — mówi Asnyk.

Trudno jest podobne wrażenia zamykać w słowa: jest ono za silne, jest to

czas, któremu równego nie znam. Nigdy może podczas najcudniejszej pogody, przy najwspanialszej grze barw na lazurach nie upaja tak niezmiernie,

rozwieja tak po prostu duszy, jak wysoki szczyt górski w cichy słoneczny dzień. Wszystko jest tak daleko, tak daleko... zdaje się, że się weszło w jakiś inny świat i że ten jest rzeczywisty, a tamten tam w dole, sen. Budzi się cały nowy świat myśli, nowy świat uczuć innych, odmiennych, jak tam w dole. Myśli zataczają się na niebo jak tęczę, uczucia lśnią, jak obłoki w zorzy słonecznej. Cud upaja nas, czsałami, obzwałdnia. Lasy i wody w dolinach, hale i upłazy, wszystko to staje się jakąś czarodziejską magiczną symfonią przyrody, czemś takim, co duszę wyrывa z piersi — dusza wybiec chce oczyma, upojona a nie syta!...

Siedząc na krańcu szczytowego głazu z nogami wiszącymi nad przepaścią, cały oddaje się tej dumnej i radosnej rozkoszy, temu porywającemu uczuciu: „na szczycie ludzką stopą dotychczas nietkniętym”. Górale tymczasem ustawiają kopce na znak naszej tu bytności — towarzysz mój zaś robi stosowne adnotacje na bilecie wizytowym i umieszcza go w bezpiecznym miejscu pod kopcem — stały zwyczaj turystyczny.

Wtem grom jakiś, jakby się góra waliła — grom straszny, olbrzymi, tytaniczny: setne echa powtarzają go po górach, on rośnie i potężnieje: to na Sławkowskim szczycie urwała się skała. Olbrzymie skały pędzą w szalonych podskokach w dolinę — tumany rdzawego pyłu unoszą się aż pod pleczyste bary Sławkowskiego. Biada kozicy i świstakom i biednemu turyście, jeśli się pod Sławkowskim znajdował!

Zmilkły nakoniec echa — tuman kurzu długo jednak trzymać się będzie.

Wierzchołek Egenhofera przedstawia jakby ostry szczyt niezmiernie spadzistego dachu — ostrzem zwrócony pod kątem prostym do doliny — to środkowy ząb w trójzębie lub główna nawa w kościele. Dwie potężne niższe granitowe wieżycy z prawej i z lewej strony: tak wygląda trójzab z góry. Głazy na szczycie stoją często kroć kaniem, tak że czasami idzie się po nich okrzakiem. Lecz czas mija, trzeba się spieszyć, bo mamy jeszcze „zrobić” mały i wielki Durny.

Ostatni rzut oka — ostatni krzyk — i jazda na dół po kancie otwartej kamiennej księgi. Wbijamy tedy parę klamer po drodze, ku wygodzie naszych następców, oczyszczamy gżemsik od groźnych upadkiem kamieni (stojąc nad nim tak, że upadek ich nic nam nie grozi), a potem krótki odpoczynek na niskim grzebienu przełęczki.

Jest w pół do dziesiątej, (na szczycie stanęliśmy o 8-ej), Klimek daje znak do drogi, chowamy zapasy i dalej w górę na prawo na pyszny szczyt małego Durnego (2481 m.). Mój wygodny towarzysz nakłada lekkie buty płócienne ze sznurową podeszwą, których mu szczerze



Na wycieczkę!



Na wycieczkę!

zazdroszczę, dźwigając moje ciężkie podkute olbrzymi.

A droga ta jest niesłychanie malownicza: wyobraźcie sobie olbrzymie głazy nawalone tytaniczną ręką i piętroszące się chaotycznie aż do szczytu, który wznosi się niezrównaną kopułą, nad nami z prawej strony — po lewej zaś urwiste spady aż tam hen gdzieś na dnie Dzikiej Doliny bieleją olbrzymie pola śnieżne! Kontrast nieporównany. Oto stado śmigłych kozic wypada gdzieś ze żlebu, pędzi w szalonych podskokach przez śnieżny całun i znika na piargach¹⁾; dwie tylko z nich, jakby nas upoić chciały zawrotną gonitwą i zachwycić niesłychaną zręcznością swoją, suną po śniegowym polu, zawieruchę nogami podnosząc. Nagle uciekająca staje jak wryta i nastawia rogi: biada niebaczonej pogoni. Lecz nie: bajecznym skokiem skreśliła ona w bok i oto sunie w ucieczkę — tamta z kolei goni ją zajadło — i znów ta sama zmiana. Przeszło kwadrans staliśmy zachwyceni temi igrzyskami, podziwiając niesłychaną zręczność tych tak miłych dla turysty stworzeń. (d. c. n.)

□□□□□□

DZIAŁ „BISZKOPTOWY”.

W świat.

Czy wiecie, dokąd moje „biszkopty” najczęściej robią wycieczki? Pewno myślicie, że do Pyr albo Wilanowa? O nie, my jeździmy w odległą krainę, droga do niej łatwa i krótka i zawsze tam jest ładnie, zawsze panuje lato i wszystko czeka tylko na przyjęcie „biszkoptów”. To kraina wyobraźni. E, tylko wyobraźni — powiecie lekceważąco — więc to nieprawda? Ale „biszkoptom” i to narazie wystarcza, bo przyjemniej jest podróżować w wyobraźni, niż nudzić w domu. Nie potrzebuję mówić, że zwiedziłyśmy już całą Polskę od Tatr, śniegiem pokrytych, aż po szumiące fale Bałtyku.

Ledwo słońce zacznie przygrzewać i wszystko budzi się do życia „biszkopty” myślą i mówią tylko o wycieczkach.

— Pachnie wiosną — zauważyła raz Kazia wtykając swój różowy nos w pęk kwitnącej wierzby.

— A spójrzcie, jakie już bez ma zielone pączki! Nietylko czuć, ale widać wiosnę. Chodźmy zaraz jutro na most Poniatowskiego.

— Doskonale, pojedziemy znowu do Krakowa, albo i dalej, będziemy płynąć razem z mostem, tak przyjemnie!

¹⁾ Piargi — usypiska.

Niestety na drugi dzień padał deszcz i „biszkopty” miały zbiórkę w pokoju. Ale nie straciły nic na humorze i zrobiły wielką wyprawę Wisłą, przez Gdańsk, na Pomorze i Żmudź. Ale, że czasu było mało (nie w wyobraźni, tylko na zbiórce), więc musiałyśmy poprzestać tylko na Gdańsku. Zaczyna się wycieczka:

— Wiosna, czy lato?

— Lato naturalnie, brzegi Wisły zielone pokryte łąkami, masą zbóż, a my płyniemy cicho po spokojnej toni rzecznej. Co mijamy najprzód?

— Płock, śliczne miasto, otoczone zielenią, zdaleka już widzimy złożone krzyży katedry.

— A potem Toruń, wiem, czytałam; tam są jeszcze zwaliska zamku krzyżackiego.

Mijamy Chełmno, Grudziądz, wspaniałe budowle, kościoły krzyżackie, dojeżdżamy do Gniewa.

— Aha, Gniew, to tam Wisła rozdziela się na dwie odnogi. Czytałam nawet bardzo ładne podanie Klonowica o sędzie nad Wisłą i Narwią, która z nich jest królowa wód. Sędzia przyznał pierwszeństwo Wiśle, więc Narew rozgniewana skreśliła na prawo i popłynęła oddzielnie, a miejsce sądu ma się stąd nazywać Gniewem.

— Bardzo ładne podanie, ale też za to, że się Wisła rozdzieliła mamy pomiędzy jej odnogami żyzną, urodzajną ziemię, zwaną Żuławami. Ciężki, tłusty muł naniesiony przez rzekę, to nadzwyczaj podatna gleba do wszelkiej uprawy.

— No to już teraz chyba Gdańsk?

— Tak, mijamy jeszcze Malborg, dawną stolicę krzyżacką i dojeżdżamy wreszcie do Gdańska. Stare, lecz jeszcze dotąd wspaniałe i bogate miasto. Wspaniałe kościoły, których jest coś czterdzieści, stare bramy i baszty, bogate, z przepychem ozdobione domy, wysokie, ponure śpichrze, ruchliwe windy okrętowe, wszystko to wywiera dziwne, niezatarte wrażenie. A jeszcze kiedy rozbrzmiewa hejnał z wieży ratuszowej, to zdaje się, że wróciły czasy dawne, czasy rozkwitu Rzeczypospolitej i wszechpotęgi Gdańska.

— Tak, gdy widziałam te tarasy (beischlagi) schodzące aż do pół ulicy, to przypominały

mi się te opisy z „Panienci z okienka“, kiedy w ciepły letni wieczór wszyscy mieszkańcy siedzieli na swych tarasach, popijając miód stary lub piwo. Kiedy to wreszcie zabrzmiał hejnał na fletach z wieży ratuszowej, a stróże nocni nawoływali do snu mieszkańców. Takbym chciała zobaczyć Gdańsk w noc księżycową! Jak cudnie muszą wyglądać te wieże i baszty. Czemuż ja nie żyję w dawnych czasach!

— A odkąd Gdańsk należał do Polski?

— Przyłączył go wraz z Pomorzem Bolesław Chrobry. Waclaw II Czeski oddaje je Brandenburczykom, których Łokietek wypiera przy pomocy krzyżaków. Ci zagarnęli Pomorze dla siebie i zwrócili je dopiero za Kazimierza Jagiełłończyka.

Odtąd też Gdańsk rósł w siłę i zamożność, bogacił się coraz bardziej. Przeszło 1000 okrętów zawiązało rocznie do portu, przywoziły z sobą wspaniałe materje, aksamity, złotogłowie, złoto przepływało przez ręce Gdańszczan. I to złoto właśnie, to bogactwo stało się przyczyną zguby. Gdańszczanie stali się pyszni i butni, mieli samorząd tak duży, że byli prawie wolnym miastem, a jednak ciągle powstawały targi między nimi a królem, nieraz wybuchały bunt.

— Tak, ale ja czytałem, że król pieniądze bardzo zależał od Gdańska, że Zygmunt August parę razy musiał u Gdańszczan pożyczkę zaciągać.

— To prawda, Gdańsk istotnie był najmniejszym miastem, bo też cały handel polski zagranicą tu się właśnie skupiał.

— A ja słyszałam, że Polsce niepotrzebny jest dostęp do morza, że my jesteśmy narodem lądowym.

— To poniekąd prawda, bo zmuszeni do ciągłej obrony kresów z konieczności myśleliśmy więcej o granicach lądowych, niż morskich. To prawda również, że charakterowi polskiemu bardziej odpowiada rola rycerzy kresowych, niż życie na morzu; niemniej przeto Polska, która ma tak wielkie rzeki, musi posiadać i ich ujścia. Dostęp do morza jest konieczny dla rozwoju gospodarki krajowej.

— A kiedy Gdańsk odpadł od Polski?

— Podczas drugiego rozbioru w r. 1793, jednakże potem za Księstwa Warszawskiego stał się miastem wolnym. Po kongresie Wiedeńskim znów przeszedł do Prus,

— To którędy szły towary dla Polski?

— Przez porty rosyjskie. To jest właśnie owa wielka niedogodność. Cło nakładane na towary, przechodzące przez Gdańsk, było tak duże, że lepiej było połączyć Wisłę kanałami z Niemnem i przez Rygę sprowadzać towary.

— Mówiłaś, że Polska będzie środkiem Europy to Gdańsk musi być środowiskiem handlu. Widzę jego piękną przeszłość. Będzie to największy port na morzu Bałtyckim. Widzę te wspaniałe okręty z napisami Egipt, lub Japonja, widzę przewijający się tłum różnorodny, rozmawiający wszystkimi językami i wreszcie widzę lud Gdański, lecz nie tych dumnych rozrzutnych dawnych kupców, ale ludzi rozumnych, ludzi oszczędności i pracy.

Wanda.

□□□□□□

Do „biskoptów“.

KONKURS.

Bracia i siostry, albo raczej siostry i bracia „biskopty“! Sławne imię wasze rozbrzmiewa po wszystkich zakątkach, pisze się o was w piśmie, spotkać was można wszędzie, gdzie was nie posieli—a nikt dotąd nie wytłomaczył i nie uzasadnił, czy i o ile nazwa „biskopta“ jest słuszna i odpowiednia.

Zanim jeden z druhów na prośbę redakcji wyjaśni pochodzenie tej nazwy — co zresztą nie nie wpłynie na jej słuszność) — odpowiedzcie sami i przyslijcie nam odpowiedź na pytanie: **Co to jest „biskopt“?**

Oto warunki konkursu: nie jest koniecznym czytanie encyklopedji i innych słowników języka polskiego, ani przepisywania stamtąd całych stronic, pożądane jest natomiast przejście „Nauki poprawnego pisania“ st. I, II i III — a to ze względu na czerwony ołówek redakcyjny.

Nastrój i ton owej odpowiedzi konkursowej może być nieco lżejszy, niż pocisk działa, z którego ostrzeliwano Paryż na 120 klm., nieco logiczniej od sennika egipskiego, weselszy niż psalmy pokutne, a w skutkach inny, niż sen-ziele.

Krótkość odpowiedzi jest nieograniczona. Może być nawet mniej słów, a zato więcej wyrażonej treści, niż w telegramach wojennych. Ale gdybyście chcieli pisać dłużej, to pamiętajcie, że objętość „Harcera“ jest zmniejszona, a redakcja opału nie potrzebuje, bo ma dosyć kartek węglowych.

Aby zaś żadna ze znanych (jak zły szeląg) albo wielkich „skautowych powag humorystycznych“ nie pokusiła się o nagrodę, postanawiamy, że udział w konkursie mogą brać tylko biskopty i III stopień — ale do lat 14 (włącznie).

Osób do sądu wybrano aż 7, żeby każdy mógł chociaż pół artykułu osądzić — gdyż znając gotowość waszą do pióra, spodziewają się nadzwyczaj licznych obesłań konkursu.

Te 7 osób są to wielcy przyjaciele „biskoptów“ (w obu postaciach) — a mianowicie: „wa-

gi redakcyjne“ druh Konrad Chmielewski i p. Władysław Kopczewski oraz druhny; Hela Gepnerówna, Zofja Arlitewiczówna, Wanda Prazmowska i druhowie: Stanisław Rudnicki (Ster), Stanisław Rędziński.

Termin nadsyłania odpowiedzi: ostateczny, jedyny i nieodwołalny — 1 czerwca. Adres: Traugutta 2 — Redakcja „Harcera“, dział „biskoptowy“.

Na pracach powinny być napisane: miejscowość, imię, nazwisko i wiek.

Nagrody stanowiąc będą cenniejsze książki i przybory harcerskie.

□□□□□□

DZIAŁ SPRAWNOŚCI.

I.

PRZEWODNIK PO MIEŚCIE RODZINNEM.

Program:

Przewodnik po mieście rodzinnem obowiązany jest:

- 1) Znać w krótkości dzieje miasta.
- 2) Znać położenie geograficzne miasta.
- 3) Znać właściwości terenu miasta i okolicy.
- 4) Wiedzieć w jakiej stronie i odległości leżą sąsiednie miasta i miasteczka w promieniu 40 km. oraz umieć podać obcym wskazówki jak się do nich dostać.
- 5) Znać zabytki przeszłości (kościóły, pałace i inne gmachy, ruiny, pomniki, cmentarze i t. p.) i umieć je objaśnić przybyszowi i mieszkańcowi miasta z punktu widzenia dziejów kraju i dziejów sztuki.
- 6) Znać obszar miasta i jego ulice, tak, aby móc z każdego punktu zaprowadzić najkrótszą drogą do wskazanego miejsca.
- 7) Znać ustroj władz miejskich i działalność ich, umieć wskazać siedziby władz miejskich i państwowych w mieście.
- 8) Umieć wskazać siedziby policji, straży ogniowej, najważniejszych stowarzyszeń, szpitale, apteki, biura pocztowe i telegraficzne, mieszkania lekarzy, hotele, banki, restauracje, najważniejsze sklepy i t. p.
- 9) Posiadać wiadomości o przemyśle miejscowym i zajęciach mieszkańców, umieć pokazać urządzenia wybranego przez siebie jednego z najważniejszych zakładów przemysłowych lub przedsiębiorstwa miejskiego.
- 10) Narysować szkic topograficzny miasta (lub głównej jego dzielnicy) oraz umieć zrobić z pamięci na oczekaniu szkic rynku, dzielnicy

czy drogi z oznaczeniem przecznic. ważniejszych budowli i położenia żądanego przedmiotu terenu.

11) Zrobić rysunki jeden z pamięci, a drugi z natury wybranego przez siebie zabytku lub gmachu w mieście.

12) Oprowadzić po mieście zwiedzającego przybysza i mieszkańca miasta.

Oznaka: Nazwa w okółu herbu miasta, a jeśli herb nieznan, zamiast niego — dłoń z wyciągniętym wskazującym palcem.

Wskazówki.

Sprawność przewodnika po mieście rodzinnem jest obok sprawności służby ambulansowej taką sprawnością, którą zaleca się zdobyć każdemu harcerzowi jak najszybciej po II-im stopniu.

Warunki jej zawierają całe mnóstwo umiejętności i wiadomości, które zdobywa się długim życiem w mieście i ciągłą obserwacją, a oprócz tego przez przeczytanie pewnej ilości książek, artykułów i t. p. Drukowane wiadomości o mieście zawierają różne przewodniki, ale nie zawsze one prawdę mówią. Godne są polecenia wydawnictwa Pol. Tow. Krajoznawczego. Wiele wiadomości podaje „Słownik geograficzny“ ułożony alfabetycznie według nazw miejscowości (wydany przeszło 20 lat temu).

Co do punktu: 1). Znać dzieje to znaczy wiedzieć o pochodzeniu miasta oraz o najważniejszych wypadkach, jakie się w mieście wydarzyły lub na miasto wpływ wywarły — oczywiście łącznie z dziejami kraju.

2). Wiadomości o mieście rodzinnem z ogólnej geografji Polski, o jego stanowisku w kraju oraz takie rzeczy, jak szerokość i długość geogr., deklinacja magnetyczna, wysokość względna i bezwzględna i t. p.

3). Wiadomości o mieście i okolicy jako przykłady do terenoznawstwa np. jak je podaje Lewakowski. (Terenoznawstwo i kartografia wojskowa, Lwów 1916.).

4). W Zagłębiu i Łodzi punkt ten może być ułatwiony w zależności od miejscowych warunków.

5). Ważną jest rzeczą umieć dobrze opowiedzieć o zabytkach, do czego potrzebne są najpierwsze wiadomości z historii sztuki (rozróżnianie stylów).

6). Oczywiście wiedzieć rozległość w hektarach lub metrach kwadratowych i różne odległości w metrach.

7). Trzeba się orientować w życiu i zadaniach miasta, w sprawach publicznych miejskich, wiedzieć, jakie osoby rządzą miastem w magistracie i radzie miejskiej i t. d.

Uczyć się tej sprawności należy w ciągu dłuższego czasu, żeby stale i dobrze wszystko pamiętać i orientować się, a nie tylko „połykać“ przed egzaminem różne przygodne wiadomości. Uczyć się można przez przechadzki po mieście, czytanie, rozmowy z osobami starszemi, które dobrze znają miasto.

Dla egzaminatora należy poprosić kogoś z harcerstwa lub z poza niego, członka czynnego oddziału Tow. Krajoznawczego lub innego stowarzyszenia kulturalno-oświatowego. Oczywiście po zdaniu egzaminu nie może ustać dalsze kształcenie się.

W Anglii bardzo wielu skautów ma oznakę „wskazidrogi“ (Pathfinder) jak tam nazywają przewodnika, (patrz Małkowski „Jak skauci pracują“).

Pomyślcie nad tem, że dobrzeby było, gdyby w całej Polsce istnieli harcerze, którzyby znali miasto rodzinne i umieli po niem oprowadzać.

Kiedy wędrowałem po kraju, widziałem, że właśnie tak nie jest i nikt mi z harcerzy u siebie nic pokazać nie umiał. A przecież tyle ciekawych rzeczy jest wokoło nas, w naszym domu i mieście. A przecież harcerz nie może być „gapą“ i powinien wiedzieć, co go otacza!

Musicie sami wiedzieć i innych oprowadzać!
Edward Muszalski.

□□□□□□



Lekka atletyka.

SKOKI W WYŻ Z ROZBIEGIEM.

Z całej lekkiej atletyki, obejmującej biegi na krótkie i długie przestrzenie, skoki wwyż z dal i, tycze oraz rzuty kulą, dyskiem i oszczepem, Warszawa najniżej stoi w skoku wwyż. Gdy rekord jej (159 cm.) porównamy będziemy z rekordami Węgier (191 cm.), Francji (188 cm.), czy nawet Rosji (180 cm.) to spostrzeżemy jak bardzo wyprzedzono nas na Zachodzie, Południu i Wschodzie. Dlatego też trudny ten, ale b. efektywny dział lekkiej atletyki — pożyteczny i dla harcerza — pragnę tu szerzej omówić.

Skok wykonywa się po przez drewnianą listwę opartą poziomo na dwóch stojakach. Skok uważa się za ważny o ile poprzeczka nie będzie zrzucona podczas skoku. Podczas zawodów na każdą wysokość dozwolone są trzy skoki. Poprzeczkę można dowolnie obniżać i podnosić. Istnieje kilka stylów skoku.

1) Skok boczny (p. fot.). Rozbieg bierze się z niewielkiej odległości z boku pod kątem około 30° do poprzeczki biegnąc z prawej strony ku lewej. Dobiegłszy do prawego stojaka odbijamy się od deski lewą nogą, będąc do poprzeczki zwróceniem prawym bokiem. Z chwilą gdy lewa noga odbija się od deski, prawa zgina się w biodrze jaknajbardziej; przyjmuje ściśle poziome położenie. W ten sposób bokiem przechodzi się przez poprzeczkę (fot.) przenosząc poziomo obie nogi: prawą a potem lewą. Opada się na ziemię lewym bokiem do poprzeczki na prawą nogę nieopodal lewego stojaka. Skok niezbyt estetyczny, ale bardzo ekonomiczny i pozwalający po niedługim treningu brać 150 cm. wysokości i więcej. Zwracam uwagę na dwa ułatwienia 1) w chwili wznoszenia się wyrzucić gwałtownie ramiona wwyż, 2) przy przechodzeniu przez poprzeczkę starać się przechylić możliwie najbardziej cały korpus w tył, by przebywać przeszkodę w pozycji pół-lub prawie leżącej, a nie siedzącej. Czyni się to w celu możliwie największego obniżenia środka ciężkości. Ale i bez tego całe wzniesienie korpusu będzie nieskończenie mniejsze, niż w skoku t. zw. gimnastycznym, zwykłym, w którym przechodzi się poprzeczkę w pozycji kuczającej, z podwinętymi nogami; jeśli normalnie tułów zaczyna się na wysokości 85 cm. nad ziemią, w skoku np. na 130 cm. wznosi go się zaledwie na trzecią część całej wysokości t. j. na 130—85=45 cm. Trening sprwadza się tu do poziomego trzymania nóg podczas przechodzenia przez poprzeczkę i studiowania coraz to większego przechylania w tył korpusu. Trenować należy się 10, 12 skokami dziennie (robionymi w kostjumie lekkoatletycznym). Po kilku miesiącach można dojść łatwo do wysokości 160 do 170 cm.

Pomijając dla braku miejsca ciekawe i bardzo korzystne „boczny reformowany i australijski w którym

skaczący przechodzi przez poprzeczkę piersiami ku dołowi wspomnę parę słów o skoku amerykańskim z przetrztem. Jest to „ostatni krzyk“ techniki treningu i... mody; nim to Baeker skoczył—z górą—2 metry. Wymaga on jednak isticie akrobatycznej zręczności wszystkich członków ciała.

Oto możliwie najprostszy opis tego skoku:

Wziąć rozbieg prostopadłe do poprzeczki i w miarę zbliżania się, pochylać się nieco na lewo dać potężne odbicie lewej nodze i wyrzucić tym sposobem w powietrze prawą stronę ciała, pomagając sobie szybkim i energicznym wyrzuceniem prawego ramienia z dołu ku górze. Podczas tego, prawa noga podniesiona na wysokość poprzeczki wyprostowuje się naprzód, ku dołowi. Wtedy skaczący nagłym energicznym rzutem odwraca się z lewej strony na prawą. Dzieje się to w momencie gdy aprawa noga minęła już przeszkodę, a lewa dopiero ma ją mijać. Wtedy górna część ciała pochyla się szybko ku przodowi przenosząc tym samym zamachem lewą nogę, ku temu pomoże jednoczesny zamach lewej ręki ku przodowi.

Jak widać z powyższego skok ten trudny i skomplikowany nadaje się wyłącznie dla tych amatorów, którzy ze skoki wwyż uczynili sobie główny punkt zawodów publicznych. Zalecam go więc nie nowicjuszom, bo im wystarczy skok boczny ale tym kto ma istotne ku temu warunki, czas, zapał i wytrwałość. Dziś gdy w przeciwieństwie do innych krajów nie mamy pism fachowych, ilustracji, instruktorów znających swój dział naprawdę, podręczników, sprawa podniesienia wyników w dziale tym leży na barkach naszej młodzieży. Ku temu prowadzi właśnie skok powyższy. Pierwsi trzej zwycięzcy w Sztokholmskiej Olimpiadzie skakali tym właśnie sposobem.

Przy treningu wystarczy co drugi dzień podnosić poprzeczkę o 1/2 cm., tak że na każdą wysokość wypadnie po 12, 15 skoków. W każdym razie przed dojściem do wysokości 1 m. 70 cm. lub przed wykonaniem około 1000 skoków pracy należy uważać za skończoną.

Kaz. Biernacki.

□□□□□□□□

Z ŻYCIA HARCERSKIEGO.

SANDOMIERZ.

Stary to gród i pięknie położony; obecnie pełno się po nim uwija braci harcerskiej. Warunki dla rozwoju harcerstwa są pomyślne; myśl harcerska znalazła oddźwięk a nade wszystko poparcie (i to czynem!) w szkole miejscowej. Na czele drużyny stoi instruktor delegowany przez władze szkolne; ten rozstracza opiekę i kontrolę nad pracą w zastępach. Tworzy się też patronat z najpoważniejszych miejscowych obywateli. Ilościowy stosunek harcerzy w szkole jest wyjątkowo pomyślny i na 270 uczniów jest prawie 100 harcerzy. To się jednak odbija źle na poziomie ideowym, szczególnie, przy braku dostatecznie wyrobionych kierowników. No, ale praca właściwie istnieje tam od niedawna; zapewne stosunki się powoli unormują. W każdym razie wartoby druhom sandomierskim przypomnieć zasadę u nas stosowaną, że harcerze nie mogą mieć niedostatecznych stopni na ocenę (najwyżej dwie niedostateczne). Podobno drużyna jest dosyć zżyta. O to właśnie chodzi, by się żyć w zastępach jak w rodzinie. Podobno też jest wiele chęci i zapału do pracy oraz panuje wzorowa

karność. A to już dobrze świadczy o drużynie. Praca prowadzi się w zastępach; obecnie drużyna przygotowuje obchód majowej Konstytucji; program zapowiada się bardzo interesująco i nosi wielce harcerski charakter. Istnieje też żeńska drużyna i rozwija się pomyślnie.

Z KUJAW.

Początków ruchu harcerskiego we Włocławku szukać należy jeszcze na przełomie 1911 — 1912 r., kiedy z kółek gimnastycznych rozwija się drużyna harcerska. Z początku praca ta nie wiele miała wspólnego z harcerstwem, ograniczano się prawie wyłącznie do muzyki, ćwiczeń gimnastycznych; natomiast karność panowała wzorowa. W 1916 r. po przystąpieniu do N. K. S. zaczyna się już praca harcerska, która mimo pewnych wewnętrznych nieporozumień, odtąd pomyślnie się rozwija. Powstaje też 2-ga drużyna im. Chrzanowskiej i Platerówny. Wobec wzrostu liczebnego daje się odczuwać brak kierownictwa.

Wszystko niemal musiano zdobywać własnym doświadczeniem i swymi jedynie siłami. Pomocą były jedynie nieliczne instrukcje oraz wydawnictwa skautowe. Kierunek w pracy głównie wyznaczano przy ich pomocy. Obecnie pod tym względem się wiele poprawiło, do czego się przyczyniły objazdy, nowe wydawnictwa i zorganizowanie patronatu, na czele którego stoi p. dyrektor szkoły realnej. Ruszyły się też całe Kujawy, czego dowodem mogą służyć drużyny w Radziejowie, Kowalu, Lubrańcu, Ostrowach, Lipnie, Kikole, Krośniewicach. Powstała też 3-cia żeńska druż. we Włocławku.

Kujawiacy radzą sobie jak mogą.

Praca rozwija się pomyślnie w zastępach, co jest widoczne z nadesłanej nam książeczki zastępu. Nie zapomina się tam zarówno o wycieczkach, jak i o sprawnościach (np. intrologatorstwo). Jest wiele chęci i energii.

□□□□□□□□

NASZE WYDAWNICTWA.

Od chwili, kiedy ostatni raz zdawano sprawę z naszych książek, ilość naszych własnych wydawnictw znakomicie się powiększyła.

Przedewszystkiem ci, którzy (a imię ich...) doświadczyli w swej pracy ciężkich nieraz kłopotów z powodu stosowania w harcerstwie różnorodnego rozkazownictwa, odetchną na widok dwu zeszytów (L. 4 i 5) Biblioteczki harcerskiej, zawierających tak z dawną upragnioną i oczekiwane: *Musztwę jednostki zastępu i plutonu oraz musztwę łaskami*.

Zadowolenie musi być tem większe ze dziwne losy prześladowały sprawę ustalenia

musztry. Dwa jej opracowania, gotowe do druku (z tych jedno już w roku 1915) zaginęły „wskutek okoliczności wojennych“. Potem kilkoletnie doświadczenia w drużynach, bliższe poznanie musztry niemieckiej i austriackiej, zmiany w legjonach i t. d. nasunęły potrzebę powtórnego ustalenia rzeczy.

Wynik troskliwych rozważań (oh! wiecie— takich, jakie tylko specjaliści od musztry z całą ścisłością prowadzić potrafiali!) szczęśliwie nie uwiązł tym razem w rękopisach, ale osiągnął postać skończoną w druku.

1) Musztra ta jest musztą urzędową, czyli jedyną obowiązującą. 2) Opracowana na podstawie prawdziwie poważnych doświadczeń z życia, zawiera tylko rzeczy celowe, praktycznie wypróbowane i ściśle zastosowane do potrzeb harcerskich; niema w niej ani krzty bezmyślnego mechanizowania.

To wystarczy, aby mieć pewność, że w najbliższym czasie musztra obejmie wszystkie środowiska, tworząc jeszcze jedną podstawę dla jednolitego działania wszędzie, gdzie praca harcerska sięga. Dobre rysunki znacznie ułatwią zadanie zwłaszcza przy nauce musztry łaskami, którą w myśl instrukcji, wprowadzają z wielkim pożytkiem coraz liczniejsze drużyny.

Wydany na jesieni zeszyt II, Biblioteczki „Skauti w obozie“ (opracowali Stanisław Rudnicki i Tadeusz Skotnicki), łączy się ze „Skautami w polu“, a jednocześnie dopełnia doskonale, niestety nieukończone „Letniska młodzieży szkolnej“.

Lecz to, co tam „ze względów ubocznych“ mogło być wyrażone jedynie połówicznie, — tutaj jest podane dobitnie i wyraźnie. Rzeczy tam przedstawione w zaraniu naszego jawnego życia niemal jako projekty do wypróbowania tu zostały zważone na wadze praktyki życia harcerskiego przez dwu starych wygów harcerskich, którzy mogą w swych twierdzeniach i przeczeniach powołać się na „niezliczone oznaki, podkładki, sznurki niezwykle barw“ i liczne pary zdartych w wędrowkach podeszew (te buty!)

W „Skautach w obozie“ czuć już kilka lat ożywionego ruchu harcerskiego, doświadczenie niezliczonych wycieczek i obozów, zasypujących co lato Polskę wzdłuż i wszerz.

Starzy harcmistrzowie znajdują tam z zadowoleniem nietylko zebrane i uporządkowane wyniki wspólnej pracy, ale i materiał do dalszych udoskonaleń i nowych projektów — początkujący — źródło rzeczonych wiadomości, które powinnyby ich uchronić od robienia smutnych doświadczeń na skórze własnej i prowadzonej tródką harcerzy — ale nie od robienia doświadczeń wogóle, bo te są najdoskonalszą szkołą harcerza, co autorzy stwierdzają dobitnie na każdej stronicy. Z. Z.

□□□□□□□□

DZIAŁ ZADAŃ.

9) ZADANIE WSTECZNE.

Uł. Stasięk R.

Podać przynajmniej 12 wyrazów, które przy czytaniu wprost i wspak dają różnobrażące rzeczowniki w przypadku pierwszym liczby pojedynczej. Imiona własne nie wchodzi tu w rachubę.

10) SZARADA.

Uł. J. Orski.

Pierwsze arugie słyszysz w maju.
Trzecie czwarte szukaj w gaju.
Wszystko, chociaż jest nam znane,
Jednak mało... zasiewane.

11) ZADANIE.

Uł. Stasięk R.

W dziewięciu kwadracikach poumieszczać liczby: 1, 2, 4, 8, 16, 32, 64, 128, 256, aby iloczyn ich we wszystkich kierunkach wynosił 4096.

12 i 13) ZADANIE KONIKOWE: SZARADA

Uł. Stasięk R.

Ruchem konika szachowego odczytać na szachownicy szaradę i rozwiązać ją.

n	c	e	e	k	r	m	s
ś	n	o	e	i	t	i	o
z	i	c	i	z	e	a	w
i	n	a	i	o	e	w	r
g	P	d	i	a	e	o	w
e	a	i	t	s	d	w	i
d	a	s	n	u	z	y	k
w	i	r	e	z	t	g	s

Za rozwiązanie powyższego zadania liczy się dwa punkty: jeden za rozwiązanie zadania konikowego, a drugi — szarady.

□□□□□□□□

Od Wydawnictwa.

Prenumerata w Warszawie i na prowincji:

Rocznie:	8 m. 50 fen.	Dla harcerzy	7 m. 50 fen.
Półrocznie:	4 m. 50 fen.		4 m.

Numer pojedynczy 80 fen.

Pożądane, by zamówienia nadsyłało na załączonych do № 1-go kartach pocztowych.

Adresować: Warszawa, ul. Traugutta № 2.
Do Redakcji (lub Administr.) Harcerza.

Redaktor i wydawca: Konrad Chmielewski.

Druk Jana Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE!

BIBLIOTECZKA HARCERSKA.

1. K. Betley i St. Rudnicki. Skauci w polu —.90
2. St. Rudnicki i T. Skotnicki. Skauci w obozie. —.90
3. K. Betley. Znaki umówione map —.75
4. I. Wądołkowski. Musztra jednostki i zastępu —.90
5. J. Wądołkowski. Musztra plutonu . . . —.90
6. E. Muszalski. Wielkie wycieczki krajoznawczo-harcerskie — w przygotowaniu.
7. Tropienie — w przygotowaniu.

Tad. Skotnicki. Jak zawiązać pracę harcerską, dla wszystkich, którym nie jest obojętny rozwój harcerstwa. 1.—

E. Muszalski. Harcerstwo a wychowanie człowieka. —.80

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI I. LISOWSKIEJ
Warszawa, Al. Jerozolimska 29.

ZUCHY podręcznik dla małych harcerzy

w opracowaniu

p. Zienkiewiczówny

pod redakcją i ze słowem wstępnym

ks. kom. Mauersbergera ukaże się niebawem.

I. Lisowska (Warszawa, Al. Jerozolimska 29.)

KATECHIZM HARCERZA KATECHIZM HARCERKI

ks. Longina.

w K. D. H. Traugutta 2. Żądać we wszystkich księgarniach.

„KALENDARZ HARCERZA“

NA 1918 ROK

i „COŚ WAM POWIEM“ (I).

opracował STANISŁAW RUDNICKI

WARSZAWA, ul. TRAUGUTTA Nr. 2

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH!

Sekretarz redakcji: Stanisław Rudnicki.

Za pozwoleniem Cenzury Niemieckiej.